

Odczarowana nowożytność

Diagnozy Carla Schmitta pozbawiają czytelników sielankowych nadziei na wieczny pokój. I niepokojąco trafnie opisują naszą współczesność

Carl Schmitt
Teologia polityczna
i inne pisma

Diagnozy Carla Schmitta pozbawiają czytelników sielankowych nadziei na wieczny pokój. I niepokojąco trafnie opisują naszą współczesność - przeczytaj tekst, który ukazał się w 2012 roku w tygodniku Plus Minus

Rok 1989. Klęska realnego socjalizmu oznacza rozpad bloku wschodniego i koniec zimnej wojny. Upadek muru berlińskiego zwiastuje krach wszelkich konfliktogennych podziałów. Francis Fukuyama ogłasza na łamach „The National Interest” artykuł, w którym stawia tezę, że dzieje ludzkości dobiegły szczęśliwego kresu. Zdaniem tego, wówczas jeszcze nieznanego w świecie, eksperta amerykańskiego Departamentu Stanu ostateczny sukces odniosła liberalna demokracja jako system gwarantujący normalność: swobody obywatelskie, dobrobyt, zgodne rozwiązywanie problemów.

Żeby nie było wątpliwości, koncepcja Fukuyamy nie była jakąś kolejną utopią roztaczającą przed ludzkością wizję nowego wspaniałego świata. Wręcz przeciwnie, cechował ją w tej sprawie brak złudzeń. Liberalna demokracja proponuje bowiem pewien program minimum: mieszczański spokój bez ambitnych zadań, których realizacja mogłaby spowodować jakieś niepożądane kataklizmy jak rewolucja bolszewicka. Bo czy po rozczarowaniach różnymi nowożytnymi projektami można oczekiwać czegoś więcej niż ciepłej wody w kranie?

Po historii?

Inspiracją dla Fukuyamy były teorie Alexandre'a Kojeve'a vel Kożewnikowa, pochodzącego z Rosji filozofa heglisty, a jednocześnie prominentnego urzędnika francuskiego Ministerstwa Handlu Zagranicznego (skądinąd podejrzewanego po jego śmierci w roku 1968 o współpracę z wywiadem sowieckim). Celem, do którego zmierza ludzkość – uważał Kojeve – jest wiekuisty pokój oraz powstanie „ogólnego”, „homogenicznego” państwa światowego. Sprzyjać temu ma zanikanie różnic między ludźmi: egzystencję historyczną i heroiczną wypiera egzystencja biologiczna (zwierzęca) i konsumpcyjna.

Kojeve nie krył dla tych procesów entuzjazmu. Inaczej niż jego najbardziej chyba znany polemista Carl Schmitt. Właśnie się ukazało w Polsce drugie wydanie wyboru sztandarowych tekstów tego niemieckiego prawnika „Teologia polityczna i inne pisma”. Kiedy w roku 2000 światło dzienne ujrzało pierwsze wydanie książki, dorobek Schmitta funkcjonował na obrzeżach polskiej debaty publicznej. Po części dlatego, iż na myślicielu tym od roku 1945 ciąży pewne niewybaczalne zarzuty: jako zwolennik dyktatorskich form rządzenia był on przez parę lat członkiem NSDAP i popierał reżim Hitlera, czym zasłużył sobie na miano „koronnego jurysty III Rzeszy”. Tyle że, co trzeba nadmienić, w roku 1936 został uznany przez nazistów za „oportunistę”, a jego pozycja w Niemczech zaczęła spadać.

Wróćmy jednak do dzisiejszej Polski. Od ukazania się pierwszego wydania „Teologii politycznej...” minęło 12 lat. Schmitt jest już w polskich dyskusjach znacznie bardziej obecny. Traktowany bywa jako ideolog przemocy politycznej, którą w latach 2005 – 2007 rzekomo praktykowali „siepacze” z PiS, przekonani o konieczności walki z postkomunistycznymi i oligarchicznymi układami. Tymczasem w roku 2007 większość Polaków zamiast pisowskiej „rewolucji moralnej” wybrała propozycję Platformy Obywatelskiej: grillowanie i, co za tym idzie, opowieść o tym, że i nasz kraj staje się europejską, posthistoryczną arkadią. Ten wybór obowiązuje do chwili obecnej, mimo że przyszłość Europy rysuje się coraz mniej pewnie. Dlaczego zatem warto sięgnąć po wznowioną książkę Schmitta?

Mit państwa prawa

Niemiecki myśliciel nie był żadnym ideologiem, chociaż taką gębę mu przyprawiono. Owszem, miał swoje poglądy, ale przede wszystkim kierowały nim pasje poznawcze. Był wybitnym badaczem natury

ludzkiej w kontekście polityczności. A kluczowy problem stanowiła dla niego kwestia sekularyzacji nowożytnego świata.

W tytułowej „Teologii politycznej” Schmitt wychodzi z następującego założenia: „Współczesna idea państwa prawa pojawiła się razem z deizmem, a więc wynikała z przekonań teologicznych i metafizycznych, które wykluczały możliwość występowania cudów w realnym świecie. Tak jak w teologii porzucono wiarę w bezpośrednią boską ingerencję, która przełamywała prawa natury, tworząc wyjątek (wiarę tę wyrażało pojęcie cudu), tak też w naukach prawnych odrzucono możliwość bezpośredniej ingerencji suwerena w obowiązujący porządek prawny. Oświeceniowy racjonalizm w ogóle nie dopuszczał myśli o pojawieniu się sytuacji wyjątkowej”.

Prawo jest tylko niedoskonałym narzędziem okiełznywania polityczności. Są sytuacje skrajne, a więc takie, do których żadne zasady prawne nie mają zastosowania, bo wymykają się wyobraźni prawodawców. I wtedy do głosu dochodzi ten, kogo Schmitt nazywa suwerenem. To ktoś, kto decyduje o tym, czy sytuacja wyjątkowa w ogóle wystąpiła, i o metodach jej przewyciężenia. Co bardzo ważne, do suwerena należy też tak naprawdę interpretacja obowiązującego prawa. Ostateczną instancją zawsze okazuje się bowiem nie zapis na papierze, lecz konkretna ludzka decyzja stanowiąca odpowiedź na sytuację wyjątkową.

W „Pojęciu polityczności” Schmitt pokazuje podstawowy mechanizm polityki: tożsamość wspólnoty politycznej (narodowej czy obywatelskiej) określana jest w oparciu o rozróżnienie „przyjaciół – wrogów”. Przy czym nie chodzi o rozróżnienie, które służy międzyplemiennemu okładaniu się maczugami na śmierć i życie (jak chcą tego krytycy Schmitta). Z wrogiem nie musimy toczyć wojen. Możemy z nim nawet utrzymywać trwały pokój, jeśli obie strony są

zdolne się między sobą porozumieć. Ale pozostanie on wrogiem, a więc tym, który nie jest nami, który jest obcy, a więc stanowi potencjalne zagrożenie dla naszego bytu. W spotkaniu z nim doświadczamy egzystencjalnie jako wspólnota polityczna swojej odrębności. Żadne liberalne zaklęcia tego nie zmieniają.

Walka z wrogiem nie koliduje również z ewangelicznym nakazem miłowania nieprzyjaciół. Wróg to kategoria polityczna. W tym sensie nieprzyjaciół nie jest wrogiem. Nakaz miłowania nieprzyjaciół ma sens w wymiarze osobistym, a nie publicznym. „W tysiącletniej historii wojen między chrześcijaństwem a islamem nigdy żaden chrześcijanin nie wpadł na pomysł, aby z miłości do Saracenów lub Turków wydać im na łup Europę, zamiast stanąć w jej obronie” – wyjaśnia Schmitt. I konkluduje: Ewangelia „nie zaleca, aby kochać wrogów swojego narodu i wspierać ich w walce przeciwko własnym rodakom”.

Ale na gruncie liberalnego dyskursu rozróżnienie „przyjaciół – wróg” jawi się jako coś niedorzecznego. Naczelną wartością jest bowiem konsensus. Jeśli jakaś siła polityczna upiera się przy określonych wartościach (takich jak niepodległość ojczyzny czy solidarność społeczna), jeśli w imię pewnych racji na czymś jej zależy i z determinacją próbuje osiągnąć swój cel, to zaczyna być traktowana jako czynnik konfliktogenny i zagrożenie dla państwa. Takim „oszołomom” wstęp do liberalnej, posthistorycznej arkadii jest wzbroniony.

Paradoksalnie jednak liberałowie też się zachowują politycznie. Kierują się przecież – chociaż nie zawsze jawnie – hasłem „Nie ma wolności dla wrogów wolności”. Tak więc i oni posiłkują się rozróżnieniem „przyjaciół – wróg”.

Dlaczego jednak ludzie epoki nowożytnej ulegają liberalnym złudzeniom? Dlaczego naiwnie poddają się przeświadczeniu o tym, że

handel łagodzi obyczaje i że polityczność można przewyciężyć ekonomicznymi regułami gry, a zatem rozróżnienie „przyjaciół – wrogów” zastąpić rozróżnieniem „zysk – strata”?

Duch i rzeczy

W „Rzymskim katolicyzmie i politycznej formie” Schmitt odpowiada następująco: to, co jest nierzeczowe czy niewidzialne, przestało mieć jakikolwiek punkt odniesienia. W nowożytnej zbiorowości kapłan i rycerz zostali z wierzchołka hierarchii społecznej strąceni. Reprezentują oni bowiem wartości duchowe, a więc takie, które stały się zbędne, bo nie mają zastosowania w produkcji przemysłowej. W tej sytuacji kapłana i rycerza zastąpili biznesmeni i naukowcy. Górą jest myślenie ekonomiczne i techniczne.

Schmitt jednak udowadnia, że polityczność nadal trwa. Tak podejrzana na gruncie liberalnego dyskursu kategoria jak władza bynajmniej nie skapitulowała wobec postulatu nieskrępowanej wolności jednostki. Natura ludzka okazuje się niezmienna. Po prostu do sprawowania władzy zmieniła się legitymacja. W świecie przednowożytnym był to autorytet, czyli instancja duchowa. W świecie urzeczowionym legitymacją jest materialny stan posiadania. A przecież żadna rzecz nie zastąpi ludzkiej decyzji.

Mamy tu zatem do czynienia z odczarowywaniem rozmaitych nowożytnych mitów. Upowszechniane są one w opakowaniach teorii naukowych. Schmitt obala te mity ich własną bronią. Niegdyś odczarowywanie rzeczywistości było tropieniem przesądów religijnych i mnożeniem argumentów za nieistnieniem Boga. Dzięki Schmittowi utwierdzamy się w przekonaniu o tym, że władza rzeczy – pieniędzy lub nowinek technologicznych – bynajmniej człowieka nie uszczęśliwia. Nie daje mu wolności. Ostateczne odczarowanie nowożytności

proceeds us to the conclusion, that none of her discoveries negated the existence of God, and her inventions did not replace Him. Therefore, they did not guarantee us a safe, post-historical existence.

It could not be otherwise. As rational and free beings we are driven by aspirations. Striving is part of our nature. The story of humanity continues. And we must live in unstable, and therefore truly interesting times. ∑

Filip Memches

Carl Schmitt „Teologia polityczna i inne pisma”, Wydanie II poszerzone, Przełożył i wstępem opatrzył Marek A. Cichocki, Wydawnictwo Aletheia, Warszawa 2012

Plus Minus, 26.05.2012

<http://www.rp.pl/artukul/61991,881413-Odczarowana-nowozytnosc.html>